18. NUMER. WRZESIEŃ 1909. ROK I.

NA ZIEMI NASZEJ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

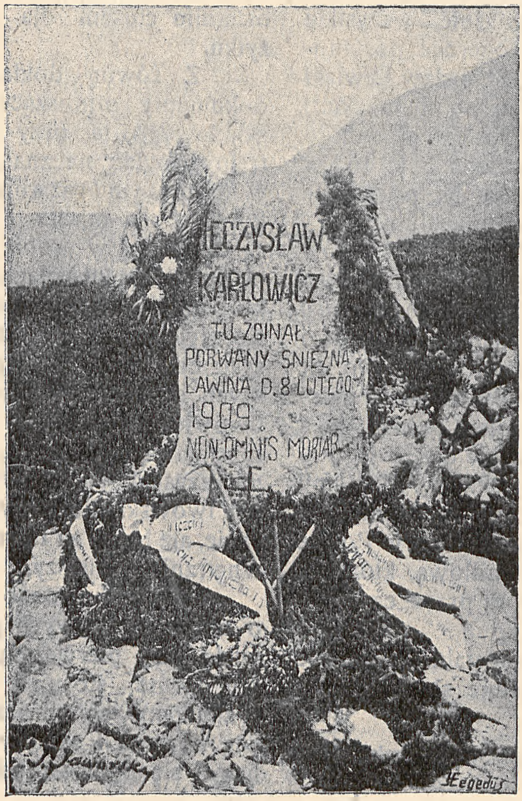
Pomnik Karłowicza w Zakopanem.

W odległej od środka Zakopanego dolinie Kościelca postawiono blok granitowy na świadectwo, że w tem miejscu umilkł na wieki pieśniarz i strzaskaną została lira, grająca narodowi nuty dotychczas nieznane, a swojskie, z głębi ducha polskiego dobyte.

Uroczystość odsłonięcia owego kamienia cichą była i skromną. Tatrzańskie echo rozniosło po szczytach górskich słowa mowców, wiatr halny powiał wstęgami wieńców a szumne, żałobne wspomnienie skamieniało na wieki w zimnym głazie i kilku literach jego napisu.

I rzecze ten złom granitowy wszystkim, którzy kiedykolwiek przyjdą na zleb między Kościelcem małym, że w tem pięknem i uroczem miejscu lawina śnieżna przysypała skrzydła orle, które się rwały do lotu bystrego i podniebnego, że odebrały go Tatry w chwili, gdy poklask powszechny towarzyszył jego akordom i cześć dla twórcy młodej muzyki polskiej.

Jeden z mowców przy odsłonięciu pomnika Mieczysława Karłowicza, artysta malarz Skotnicki powiedział, że sztuka Karłowicza wypływała z bezgranicznej jego miłości do Tatr potężnych. „I one go ukochały — ukochały po, swojemu jak umiały, przycisnęły do siebie tym strasznym uściskiem olbrzyma, a natura okryła go białym całunem, bo białą była dusza Karłowicza...“



POMNIK KARŁOWICZA W ZAKOPANEM.
(Według zdjęcia dokonanego przez p. J. Jaworskiego.)

I zostanie on zaklętym, a spiącym rycerzem Tatr, ich duchem, który kiedyś powstanie z pod granitowego bloku i ujrzy wzrost wielki i plon obfity ze ziarna, rzuconego na pustynną glebę.

Pomnik odsłonięty jest własnością wszystkich, a straż nad nim poruczoną została tym, którzy idą w góry i którzy szukają w nich tej siły, natchnienia i wrażenia, których szukał Karłowicz. Wspomniany wyżej mowca, zwracając się przy odsłonięciu pomnika do „taterników“, rzekł:

„Do was należą Tatry, wyście panami ich, wam więc ten kamień, oddajemy — opiekujcie się nim — niech świadczy o szlachetności Karłowicza i o tem, że dochować przyjaźni szlachetnej duszy, waszemu druhowi, umiecie“.

Prawo składu we Lwowie.

Przez kilkaset lat było „prawo składu“ jednym z najważniejszych przywilejów Lwowa. Strzegło go całe miasto zazdrośnie, wikłało się w jego obronie w najzawilsze procesy, treścią jego wypełniało swe księgi, stwierdzało pergaminem i majestatyczną pieczęcią. Prawo składu, przywilej nakazujący kupcom zatrzymywać się ze swymi towarami w pewnej miejscowości i tam tylko je na sprzedaż wystawiać, uważany był za źródło dobrobytu miejskiego, za kamień węgielny i podstawę obrotu handlowego, za siłę większych miast i cel ich zabiegów.

Skutkiem wielkiej swej doniosłości samo prawo wydoskonalało się, rozszerzało w różne rozgałęzienia i specjalne przepisy, zostawiało tysiączne ślady w księgach, dokumentach i przywilejach miejskich, w aktach procesowych i kontraktach. Stąd labirynt środków prawnych i przepisów prohibicyjnych, tysiączne nakazy i tychże nakazów przekroczenia, a stąd też i dla historyka trudność nie mała w rozwikłaniu tego labiryntu prawnego.

Lwowskie prawo składu wyjaśnić, wszystkie jego przepisy w pewien system ogarnąć postanowił historyk polskiego handlu dr. Stanisław Lewicki i uczynił to w rozprawie napisanej po niemiecku.*) Względem zaś, który młodego uczonego skłonił do posługiwania się tym właśnie językiem, było to, że praca niniejsza jest doktorską i na jej podstawie doktoryzował się dr. Lewicki w Monachium.

Ci wszyscy, którzy znają kierunek studjów autora niniejszej rozprawy, jego zapał naukowy, żelazną pracowitość i głęboką znajomość teorji i historji handlu w ogóle, a handlu polskiego w szczególności, mieli prawo spodziewać się, że dr. Lewicki wystąpi odrazu z pracą o daleko szerszym zakroju terytorjalnym. Nie jest jednak winą jego, że tak się nie stało, bo wielkie dzieło jego o drogach handlowych w Polsce czeka w Akademji umiejętności na swoją kolej druku, rychłemu zaś wydaniu drugiego dzieła o prawie składu w Polsce przeszkodziło zajęcie się szkołą handlową, którą dr. Lewicki we Lwowie założył i którą przez czas pewien kierował.

Pozostała więc rozprawa specjalna o prawie składu we Lwowie. Prawo to datuje się od środka XIV. wieku, a źródłem tego jest polityka handlowa Kazimierza Wielkiego zmierzająca do wyemancypowania Polski z pod wpływów niemieckiego kupiectwa. Lwów opanował całkowicie drogę handlową na Wschód i przywilejami Ludwika Węgierskiego oraz jego następców zdołał odsunąć współzawodnictwo Krakowa, tak, że kupcy stamtąd, razem z kupcami wrocławskimi idącymi na Wschód musieli towary swe wystawiać we Lwowie na sprzedaż, a tak samo i kupcy ze Wschodu nie mogli omijać Lwowa. Autor niniejszej rozprawy przeszedł bardzo szczegółowo wszystkie stadja rozwoju tego prawa, wydobył, zwłaszcza z archiwum miejskiego, bardzo wiele nieznanych dokumentów i w ten sposób uzupełnił obraz stosunków, wywołanych prawem składu, aż do połowy ośmnastego wieku, kiedy to pod wpływem nowszego stanu rzeczy zmiarniało ono stopniowo i znikło, nie zostawiając śladów po sobie. Układy handlowe międzypaństwowe, które w r. 1775 zapewniły obcym kupcom zupełną wolność handlową w Polsce, były ostatnim ciosem dla tego średniowiecznego przeżytku.

Z równą dokładnością zebrał dr. Lewicki dokumenty odnoszące się do organizacji prawa składowego, a przy końcu swojej rozprawy dał trafny pogląd na znaczenie i wartość tego prawa w dziejowym rozwoju Lwowa. Mimo doraźnych korzyści dla miasta i hurtownych kupców lwowskich, kryło w sobie prawo składu zarodki ruiny, polegało na zasadach ukutych sztucznie, z pod których obrót handlowy prędzej czy później musiał się wyłamać. Nienaturalny stan rzeczy wywołany systemem prohibicyjnym zemścił się też w późniejszych czasach okrutnie na miastach, a specjalnie na Lwowie. Dr. Lewicki kończy swoją rozprawę wyrażeniem przekonania, że gdyby Lwów był nigdy nie uzyskał tego przywileju, byłby wprawdzie handel lwowski nie rozwinął się tak nagle i tak sztucznie, ale byłby za to rozwój jego bardziej stały i wewnętrznie silniejszy.

W ten sposób rozwianą została legenda o mocy handlowych przywilejów Lwowa. Dr. Lewicki jest pierwszym, który krytycznie wglądnął w dawne stosunki handlowe miasta naszego, a skutkiem tego praca jego przyniosła wiele rzeczy nowych i zapatrywań oryginalnych, z którymi liczyć się będzie musiał każdy historyk. *J.*

*) Stanisław Lewicki: Lembergs Stappelrecht. Lemberg 1909.

Wystawa w Zakopanem.

Obok Zakopanego, które się bawi i używa letnich wczasów, jest drugie Zakopane, twórczej pracy i ekonomicznego rozwoju ludu góralskiego, a na samym jego kraju, jak kwiat na brzegu chłopskiego serdaka osiadł Wojciech Brzega. Jeżeli inni myślą o Związku górali, o krociowym

obrocie zakopiańskiej Kasy zaliczkowej, Kółku rolniczem i Spółkach handlowych chłopskich. to Wojciech Brzega za nich wszystkich duma o sztuce ludowej i jej przyszłej, szerokiej drodze. Piękno życia i stroju górskiego towarzyszyło mu wszędzie, gdzie tylko terminował, w młodości swojej, u światowej sztuki, w Paryżu śniły mu się ostre kanty chałupy góralskiej, w Monachjum, w pobliskim Krakowie widział tylko bajeczny świat motywów ludowych, aż wreszcie cały się oddał tej sztuce, którą lud wykołysał na dnie duszy swojej, którą wyniósł z zamierzchłych wieków na tej ziemi bytowania.

Artysta, który rwał po swej drodze pierwsze nagrody i wielkie pochwały, któremu krytycy wróżyli „przyszłość i karjerę“ osiadł na skraju Zakopanego i jął się ciesiołki, zdala od wszelkich wystaw i Akademji począł tworzyć rzeczy zrazu dziwne, ale którym coraz to szerszy wtórzył poklask, coraz to większe świtały nadzieje, że się początkiem staną nowej ery w rozwoju polskiej sztuki wogóle. Matlakowski, Witkiewicz, Mokłowski byli tej ery zwiastunami, Wojciech Brzega stał się jej wykonawcą i jeżeli dziś czoło mu się chmurzy troską o przyszłość, to nie z braku wiary, ale z braku takiego zainteresowania, na jakie sztuka ludowa zasługuje.

Dla obudzenia tej ciekawości miała być bieżącego roku wielka wystawa Towarzystwa sztuki podhalańskiej w Zakopanem. Przeszkody stanęły wskroś tego zamiaru, ale niestrudzony Wojciech Brzega zebrał do kupy kilku podobnych sobie, urządził wystawę we własnym domu, w bezpośredniem sąsiedztwie swojego warsztatu stolarskiego i pracowni rzeźbiarskiej, koło krosien kilimkarskich swojej siostry. Wystawa przez cały sezon budziła i budzi w tem pierwszem Zakopanem, które się bawi, wiele ciekawości, zbliża ludzi do źródła sztuki ludowej i wraz z rozjeżdżającymi się letnikami roznosi jej promienie po całej Polsce.

Brzega jest kontent z wystawy. Gdyby duma była bliższą tego człowieka byłby może i dumny z niej, a tak na myślącem czole, po obwisłych wąsach, w siwem, rozmarzonem oku gnieździ się tylko niefrasobliwa radość o przyszłość najbliższą. Bo faktem jest, że sztuka podhalańska wypowiedziała przez dzieła Wojciecha Brzegi drugie swoje słowo. Pierwszem było odwieczne zdobnictwo ludu góralskiego, odrębny styl jego chaty, formy sprzętów, upodobania i dusza, która kierowała ręką zbrojną w kozik, wyrzynający ornament odwiecznie świeży i o tysiącznej formie. Pierwszem słowem sztuki podhalańskiej były te resztki, które się schroniły w muzeum Chałubińskiego i w dziele Matlakowskiego.

Ale na wieki one gotowe formy zostać nie mogły. W ciągłem powtarzaniu groziła im nuda i banalność, tembardziej, że sam lud tworzyć już przestał pod wpływem gotowej, a wszędzie jednakiej cywilizacji. Teraz też począł tworzyć Brzega, artysta, akademik paryski i monachijski, a przytem góral całem sercem i całą duszą. Związany życiem, wspomnieniem, ukochaniem z chatą góralską i jej sprzętem, podjął zamierające na nich motywa i rozwija je, a doskonali w nowe formy i pomysły, utrafiając jak rzadko w charakter spuścizny ojców. Stąd sprzęty przez niego wyrabiane, urządzenia mieszkań i wszystko, co wyszło z pod tej pracowitej dłoni jest sztuką ludową, motywem chłopskim, ale wcale nie tej sztuki i tego motywu powtórzeniem, ani też tylko przystosowaniem do obcych w chacie górala przedmiotów. Sztuka Wojciecha Brzegi idzie w prostej linji od majstrów góralskich, ale wezbrana jest całą potęgą nowożytnej myśli i odczuciem ducha artystycznego, szukającego dróg nowych. Oprowadzając gościa po wystawie i pokazując mu czy to urządzenie salonu, czy jadalni, czy gabinetu własnego wyrobu, pokaże Brzega chętnie, że to a to wzięte jest ze starego łyżnika lub listwy, a tamto z węgła chaty góralskiej, a owo to nic innego jak tylko „słoneczko“ z przyczółka chałupy, parzenica z portek. Każdy jednak widz pojmie odrazu, że te wszystkie szczegóły zharmonizowane zostały na nowo i posunięte o krok naprzód, że je umysł twórczy artysty, zrozumiawszy dokładnie i wyczuwszy, rozwinął, duszę w nie tchnął nową i na nowe wprowadził drogi.



FRAGMENT WYSTAWY W ZAKOPANEM.
(Według zdjęcia dokonanego przez p. J. Jaworskiego.)

Z taką idąc myślą obok dzieł artysty, przystosowanych do codziennego użytku, stajemy przed wielkiem dziełem kompozycyjnem Wojciecha Brzegi, przed trzema rozmodlonymi góralami. W ławce kościelnej trzy klęczące postacie naturalnej wielko-

ści, pierwsza ze złożonymi skromnie rękami i z wyrazem twarzy, wskazującym na wielkie skupienie myśli przy odmawianiu i przypominaniu sobie poszczególnych słów pacierza, druga wpatrzona w sufit kościelny z całą, tępą bezmyślnością człowieka chwilowo nieczynnego i trzeci wreszcie grzesznik kający się ze spraw żywota codziennego. To już nie sztuka ludowa, ale rzecz ogólnie pojęta, z bystrą obserwacją, uchwyceniem typowych rysów górala, zrozumieniem jego duszy, poprawną psychologją i fizjologicznym modelunkiem bez zarzutu.

Nie lubi jednak Brzega zatrzymywać się zbyt długo koło dzieł swoich, bo mu spieszno pokazać przedewszystkiem to, co na obecnej wystawie jest nowem i niezwykłem. Są to przedewszystkiem kartony artysty malarza Kłosowskiego z projektami malowideł ścian pokojowych. Gdyby zamiast dzisiejszych okropnych deseniów na ścianach naszych mieszkań udało się wprowadzić tapety i malowidła swojskie, byłby to bardzo wielki krok naprzód w przystosowaniu zdobnictwa ludowego. Niestety piękne rysunki p. Kłosowskiego zaledwie w kilku wypadkach zostały wykonane, a na wystawie budzą teoretyczny tylko podziw znawców i ludzi obdarzonych zmysłem estetycznym. Jakoż niektóre szczegóły tych rysunków przykuwają na dłużej uwagę świeżością form swoich i bogactwem motywów.

Drugą osobliwością wystawy jest ceramika zakopiańska. Stare misy góralskie zdobne były, jak każdy sprzęt góralski, w swoisty ornament, ale zaginęły one już dawno i wyszły z użycia. Obecnie wskrzesił góralską ceramikę na nowo artysta rzeźbiarz p. Antoni Szczygielski i wystawił cały szereg przedmiotów codziennego użycia: jak wazonów, lichtarzy, flakonów na kwiaty i t. p. wszystko pokryte subtelną ornamentyką, uchwyconą ze zdobnictwa ludowego i przystosowaną do wyrobów glinianych. Dobrym pomysłem p. Szczygielskiego jest kombinacja motywów zakopiańskich ze starosłowiańskimi, skutkiem czego otworzyło mu się obfite źródło ornamentów, bijących w oczy swoim wybitnie swojskim charakterem.

Hafty i makaty pani Kazimiery Szczygielskiej i pani Witkiewiczowej znalazły wiele uznania na obecnej wystawie a i tkactwo kilimkarskie prowadzone pod okiem p. Wojciecha Brzegi, jakkolwiek stawia pierwsze kroki dopiero, wykazać się może zwłaszcza szalami (czerwone, przeplatane złotem) zdolnymi zaspokoić najwytworniejsze nawet wymagania.

Jeszcze wspomnieć koniecznie należy o wyrobach ślusarskich p. Jana Mosza, który jako że jest szwagrem Władysława Orkana potrafił swe familijne upodobanie w sztuce przekuć na cały szereg wyrobów z żelaza, stanowiących prawdziwą niespodziankę. Zegar w postaci chaty góralskiej, gdzie żółty drut naśladuje zmyślnie przetykane mchem szpary między bierwionami, kasa żelazna w kształcie góralskiego sąsieka, kaganek przystosowany do elektrycznego oświetlenia, wszystko to rzeczy niezmiernie ciekawe, świadczące o wszechstronności sztuki ludowej i możliwości wielorakiego jej zastosowania w praktyce.

Przychodzą tedy ludzie na wystawę i dziwią się bogactwu chaty chłopskiej i pytają zdumieni, dlaczego to bogactwo nie stało się dotąd powszechnym udziałem całego narodu.

A Wojciech Brzega uśmiecha się pod płowym wąsem i kontent jest bardzo z tego, co jest i z tego, co przed sztuką ludową ścieli się na daleką przyszłość. *Fr. Jaw.*

Podświadome ja i jego znaczenie dla wychowania.

(Dr. L. Waldstein: „Das Unterbewusste Ich und sein Verhältniss zu Gesundheit und Erziehung. Wiesbaden 1908.)

(Dokończenie.)

Inne przykłady dostarczają nam dowodu, jaki wpływ wywiera otoczenie, z którego płyną do naszego podświadomego ja wrażenia, na późniejsze skłonności, które się zwykle przypisuje dziedziczności. I tak jeden z chłopców okazywał wstręt do muzyki, inny do matematyki. Przy bliższem zbadaniu okazało się, że pierwszy mieszkał w dzieciństwie obok konserwatorjum, skąd dochodziły pomieszane, niesharmonizowane dźwięki instrumentów, drugi zaś miał nauczyciela, który przedmiot swój traktował jako „malum necessarium“. Wypadki te tłómaczono dziedzicznie nabytym wstrętem do przedmiotów. Inny przykład stwierdza przypuszczenie o trwałości podświadomych wrażeń. Przykładu dostarczyły obserwacje słynnej Hellen Keller, amerykanki. Jak wiadomo przeszła ona mając 19 miesięcy, ciężką chorobę, skutkiem której straciła wzrok i słuch. Dzięki zabiegom lekarzy i swej nauczycielki-wychowawczyni, odbyła swe studja całkiem normalnie. Była bardzo wrażliwą na muzykę, którą czuła za pomocą dotykania instrumentu grającego, lub nawet za pośrednictwem podłogi zasłanej dywanem, tak dobrze jak inni za pomocą słuchu. Dowiedziałem się — mówi autor — od ojca jej, że przed jej chorobą, śpiewał często dwie piosenki sadzając Hellen na kolanach. Pieśni tych po chorobie oczywiście już nie słyszała. Pieśni te zagrałem w jej obecności na fortepianie

i skutek był nadzwyczajny. Hellen cieszyła się klaskając w dłonie i śmiejąc się, przyczem wyrzekła słowa nie dające żadnego sensu. Gdy o nie zapytałem matkę odrzekła, że słowa te zawsze ojciec powtarzał biorąc ją na kolana, poczem śpiewał swoje piosenki.

Z tego cośmy dotąd powiedzieli wynika, że podświadome ja kształtuje się przez wrażenia, które dochodzą do nas z otoczenia, oraz, że kształtowanie to odbywa się w dzieciństwie. W późniejszem życiu zarówno świadome jak i podświadome ja wzbogaca się przez doświadczenie oraz modyfikuje przez jakość doboru otoczenia. Wiele nastrojów w jakie popadamy w wieku późniejszym daje się wytłumaczyć, sięgając wstecz do wieku dziecięcego. Często się zdarza, że melodja jakaś wzbudza w nas dziwny jakiś nastrój i dopiero po bliższej analizie okazuje się, że melodję tę zupełnie podświadomie akceptowaliśmy w dzieciństwie n. p. ucząc się tańca.

Wyniki badań naszych wykazały ogromne znaczenie podświadomego ja w życiu człowieka, ze względu zaś na wpływ, jakie wywiera ono na sądy i czyny człowieka, musi się zwrócić w wychowaniu baczną uwagę na przebieg życia dziecka. Wychowanie może w ten a nie inny sposób wpłynąć na ukształtowanie się nietylko świadomego ja, czem się zajmuje głównie szkoła, lecz także i podświadomego ja, co wchodzi w zakres pracy rodziców. W myśl badań eksperymentalnych, które wykazały, że znaczenie wrażeń podświadomych stoi w prostym stosunku do zdolności wrażeniowej danego indywiduum, wychowanie musi zwrócić uwagę swą głównie w dwu kierunkach: 1) kształcenie uwagi czy zdolności koncentrowania, 2) doboru otoczenia.

Pierwszy kierunek musi sobie postawić za cel zaprowadzenie zupełnej harmonji między uwagą tj. zdolnością koncentrowania a zmysłami, bo im większą będzie między niemi harmonja tem większe będzie napięcie uwagi, czyli tem lepiej będą nam się wrażenia uświadamiały. Przeto zwiększy się zakres świadomego ja. Uwagę kształcimy najlepiej w ten sposób, że każemy dziecku dane wrażenie poznać dokładnie w sposób zastosowany najlepiej do indywidualności dziecka, a potem je odtworzyć. Zmysły zaś kształcimy każdy za pomocą czego innego, ucho zapomocą muzyki, oko zapomocą płaszczyzn barwnych i t. d. Chodzi tylko o to aby zdolność wrażeniową o ile możności najbardziej wzmocnić.

Drugi kierunek zmusza wychowawców do pilnego wyboru otoczenia, jakie dla dzieci winni przygotować. W skład doboru otoczenia powinno wchodzić świeże słoneczne powietrze, harmonijny dobór otoczenia martwego, oraz ludzi. Dbałość o to powinna być posunięta do możliwie najdalszych granic. Najmniejsze drobiazgi i szczegóły powinny się odznaczać estetycznym wyglądem, oraz przyjemnością dotyku. Dobór zaś otaczających dziecko ludzi musi być przestrzegany ściśle, ze względu na przykład jaki dziecku dają w postaci również wrażeń podświadomie się udzielających.

Dla obu zaś kierunków, które muszą być równocześnie uwzględniane, zaleca się wychowywanie dzieci na wsi. Pierwszemu kierunkowi ułatwia naukę koncentrowanie uwagi, dostarczając organom zmysłowym dziecka mniej szczegółów niż miasto; drugiemu zaś ułatwia zadanie dając wiele słonecznego i świeżego powietrza, oraz harmonijne otoczenie.

Obie części naszego ja wychowanie musi doprowadzić do zupełnej harmonji. Postulat ten wykazuje zarazem, jak niebezpieczną jest rzeczą pozostawienie wychowania dziecka obcemu człowiekowi. Plan bowiem wykształcenia równowagi między świadomem a podświadomem ja u dziecka musi być w każdym indywidualnym wypadku inny. Rodzicom łatwiej się do tych cech i potrzeb indywidualnych zastosować, choćby dlatego, iż wiele mają właściwości ciała i ducha wspólnych z dziećmi, które je nabyły drogą dziedziczności.

Całe nasze powyższe rozpatrywanie jasno wykazuje, że nasza duchowa osobistość składa się z ruiny wszystkich wrażeń, które dostały się do naszej organizacji w ciągu całego naszego życia, a które zależą od właściwości naszej organicznej struktury; ta zaś jest przez naturę proformowana. Natura zaś nasza składa się z dwu części, według dwu rodzajów wrażeń: ze świadomej części, która dotyczy naszej uwagi, woli i czynów i która wpływa na nasz stosunek do świata zewnętrznego; oraz z drugiej części, która tworzy podświadome ja, z którego wypływają wszelkie nasze najwewnętrzniejsze pragnienia. Kto chce osiągnąć pełny rozwój kultury indywidualnej musi dążyć do ujednostajnienia obu części naszego ja. Tragedją każdego człowieka jest konflikt między niemi.

Kształtowanie się podświadomego ja i przyczyny jego wpływu późniejszego należy odnieść do dzieciństwa człowieka, kiedy ten uczy się dopiero koncentrować — zwracać swą uwagę na rozmaite przedmioty, co jest, jak się okazało, jedynym środkiem przeciw opanowywaniu nas przez podświadomą część naszego ja. Dziecko więc doznaje podświadomych wrażeń, których rozległość, intensywność i jakość zależy od organów odbiorczych (spostrzegawczych) i od zdolności wrażeniowych mózgu. Organy są już czemś stałem, z czem dziecko przychodzi na świat, można je jednak kształcić. Teraz zrozumiemy całą trudność, jaką ma do pokonania dziecko, ucząc się uwagę swą koncentrować, a i badania eksperymentalne wykazały to dowodnie. Jeżeli na kartce papieru wyrysujemy krzyżyk i każemy dziecku przez pewien czas bacznie obserwować, a potem żądamy odrysowania na innym papierze krzyżyka w tem samem miejscu, to okazało się, że trafnych wypadków było jeden na sto.

Tadeusz Antoniewicz.

Nowa sztuka ludowa*).

Jestem zdecydowanym przeciwnikiem wszelkich konkursów terminowych na utwory ducha ludzkiego. Rozumiem doskonale konkursa rozmaite np. na wybudowanie kamienicy w przeciągu sześciu tygodni, na wykopanie rowu kilometrowej długości. Ale, żeby powiedzieć umysłowi twórczemu, iż ma napisać, dajmy na to utwór sceniczny, któryby był nie robotą rzemieślniczą, ale artystyczną, po dzień z góry oznaczony, jeżeli chce otrzymać nagrodę — tego nie mogę w żaden sposób zrozumieć, bo może jestem zbyt ograniczony, ażeby to pojąć?!...

A przecież!... Doświadczenie powiada mi, że słuszność leży po mojej stronie!

Wszak to rok rocznie ogłasza galicyjski Wydział krajowy konkursa na utwory dramatyczne, oraz na sztuki, przeznaczone dla teatrów ludowych, z nagrodami wcale pokaźnemi, jakgdyby napisanie dobrej sztuki było co najmniej — bohaterstwem! I oto — co się dzieje?... Nic innego, jak to tylko, że dotychczas żaden konkurs nie dał sztuki, zasługującej rzeczywiście na tak wysokie odznaczenie, jakkolwiek na scenach naszych wystawiano równocześnie rzeczy stokroć lepsze od nagrodzonych. Sprawdza się zatem to, co wyżej powiedziałem, iż konkursa terminowe mijają się ze swoim właściwym celem. A teraz przybywa mi jeszcze jeden dowód oczywisty i przekonujący.

Profesor gimnazyum polskiego w Cieszynie Dr. Ernest Farnik dał sztukę ludową »*par excellence*« i jakkolwiek zadebiutował nią na polu twórczości dramatycznej, przecież stworzył rzecz prawdziwie doskonałą, która zapędzić może snadnie w kozi róg wszystkich laureatów konkursowych.

Ta właśnie okoliczność jest powodem, dlaczego postanowiliśmy zaznajomić bliżej nasz ogół z „Istemi rokami“ w artykule obszernym.

Rzecz odgrywa się w chacie zamożnego włościanina opodal Cieszyna, współcześnie. Typowy chałupnik śląski, sterany robotą starzec sześćdziesięcioletni, Mynarzyk, wierzący w przysłowie, że „na frasunek — dobry trunek“, pociąga gorzałkę, gdyż dowiedział się właśnie, że do córki gospodarza, Zuzanki ma przyjść dzisiaj zalotnik z miasta. A tu w dziewczynie kocha się na zabój ulubieniec Mynarzyka tęgi parobczak Jędrek. Nie ma w dodatku sposobu zapobieżenia fatalnemu biegowi spraw!... To też wywiera złość na swojej żonie gadulskiej, jakich mało.

Tymczasem do chaty przybywa swat z kawalerem. Pyszne to figury!... Swat, właściciel knajpy w mieście, posługuje się co chwilę szwargotem niemieckim dla dodania sobie powagi i pozorów inteligencji. Konkurent znowu do ręki córki gospodarskiej — to pisarz adwokacki, jakich wielu. Ogłada powierzchowna, jakiej imć pan Pieczonka nabył z latami w mieście, czyni go chwilami wprost śmiesznym. Starzy Siekierowie uprzedzeni są — naturalnie — co do zamiarów, jakie sprowadzają gości pod dach ich domostwa. To też są radzi gościom.

Jak w takich wypadkach u ludu zazwyczaj bywa, swat z miejsca, bez owijania w bawełnę, wypala sążnistą orację:

— „Tak też te wasze dobre serca na względzie mający, przestąpiliśmy wasze wzacne progi, z tym to zacnym, a wszelakiej czci godnym panem Izydorem Pieczonką, urzędnikiem adwokackim i solicytatorem z miasta Cieszyna, który sobie umienił prosić was przezemnie o iste słowo, cobyście mu waszą dorodną, a cnotliwą cerę raczyli obiecać. Ma on swojego majątku w szparkasie koło trzech tysięcy reńskich, a okrom tego i chałupkę po ojcach... Raczcie te jego przezemnie prawdziwie wymienioną majętność i jego wielką miłość ku swej ulubionej, a waszej pięknej cerze, w czcigodnych waszych myślonkach chwalebnie rozważyć i tego tu obecnego pana Izydora Pieczonkę szczodrą i dobrą odpowiedzią rozweselić, a w niedalekim czasie ze stanu swobodnego wybawić, jako że się mu coraz bardziej przykrzy samemu“...

Swat był tęgi w gębie, to też poruszył do łez serce ojcowskie starego Siekiery.

I jak to pospolicie na wsi bywa — bez długich ceregieli dziewczyna zgadza się na to, co postanowili rodziciele.

Ale nie jest też ta Zuzanka pozbawiona chytrości i przebiegłości, właściwej wszystkim białogłowom. Przyrzekła co dopiero rękę swoją imć panu Pieczonce, ale stąd do zamążpójścia — podług niej — daleko jeszcze:

— ...Inszoby myślała, że już dwigrze za nią zapadły. Ale jo se dopiero teraz bedem na niego dawać pozór. Bo sie mi to jakość nie widzi. On sie jeny umie z daleka kłaniać, ale żeby też przizseł bliży i chociaż nie podziwoł pieknie. Buda! widzimy też to, kogo więcej miłuje czy mie, czy tatową kapse“...

A jak świetnie umie sobie dawać radę z ojcem, to pokazuje się najlepiej w scenie, gdy ją stary Siekiera napotyka sam na sam z Jędrkiem:

— „A widzicie ich. Jędrys jak Jędrys, ten ni nimo przed sobą. Ale to dzieuszysko! Prawdziwie babsko natura. Jednemu rękę, drugiemu serce. Aby ją! Dobrze, żech sie udzierżoł, ale mnie strasznie dłoń zaświerbiała. Bedem sie też temu teraz lepszy przydziwował. Żeby matka nic o tem nie wiedziała? Lepszy bedzie nic nie prawić coch widzioł, „bo jeszcze i staro na nie wpadnie i obie sie zespórzą. A chłop ma dość do roboty z jedną babą, nie to Boże z dwiema“...

Takiej i tej podobnej prostej chłopskiej filozofji, mamy w utworze omawianym podostatkiem.

---

*) „Iste roki.“ Sztuka w trzech odsłonach dla amatorskich scen ludowych na Śląsku napisał E. Farnik. Cieszyn. 1909. Nakł. autora.

Akt drugi rozgrywa się w gospodzie cieszyńskiej.

Mynarzyk z żoną oczekują przybycia Siekierów na zaręczyny. Z rozmowy z gospodynią dowiadują się, że imć pan Pieczonka uwiódł w mieście dziewczynę, miał z nią dwoje dzieci. U dziewczyny tej, która jest krawczynią, była nawet Zuzanka, żeby według życzenia rodziców, zamówić sobie suknię modną. Całe te zwierzenia poufne podsłuchuje Mynarzyk, udający przebiegle drzemkę. Tymczasem przychodzą starzy Siekierowie, Zuzanka z narzeczonym i ze swatem. Rozmowa, jaka toczy się przy kieliszku, jest arcycharakterystyczna, gdyż pokazuje się z niej, że pan Pieczonka, to człowiek wcale polityczny: „Jak panowie widzicie, — wynurza się, umię mówić poprawnie po polsku, bo odkąd na Śląsku nastała ta moda, że każdy lepszy człowiek z dziedziny mówi wszędzie dobrze po polsku“... to i on używa tego języka, chociaż wykształceni ludzie, jak on, powinni zawsze mówić po niemiecku.

I już mają młodzi zamienić pomiędzy sobą pierścionki, gdy nagle Mynarzyk rzuca w twarz solicytatorowi fakt uwiedzenia owej szwaczki. Robi się rwetes, podczas którego narzeczony znika, jak kamfora. W Zuzance dokonuje się gwałtowny zwrot. Teraz nie chce nawet słyszeć o solicytatorze i chyłkiem rusza z Mynarzykiem do domu. Rodzice jednakowoż nie tracą nadziei, że wszystko da się jeszcze naprawić.

W akcie ostatnim Jędrek dowiaduje się od Mynarzyka o całem zajściu. Wyjawia tedy swoją miłość Zuzance, lecz — na nieszczęście w chwili, gdy całuje ukochaną — wchodzą starzy Siekierowie. Stąd awantura arabska. Na szczęście Mynarzyka przynosi list od pana Pieczonki, w którym on oświadcza, iż nie myśli już o żeniaczce z Zuzanką, a nadto potwierdza prawdziwość tego, co Mynarzyk rzucił w oczy solicytatorowi i zawiadamia, iż pan Pieczonka był dzisiaj na obiedzie u swojej kochanki, gdzie wyszydzał niemiłosiernie Zuzankę i starych Siekierów.

Chwilę tę ogólnego przygnębienia wyzyskuje nader zgrabnie Mynarzyk, prosząc w imieniu Jędrka o rękę Zuzanki, co do którego udobruchać mu udaje się w jednej chwili Siekierów, kiedy pokazało się, że Jędrek ma aż trzy tysiące własnych pieniędzy. Cała tedy historja kończy się pomyślnie.

Nie jest utwór p. Farnika wolny od drobnych usterek. Za taką uważam naprzód samo zakończenie zbyt melodramatyczne przy śpiewie pieśni „Kto się w opiekę“. Akcesorjum to najlepiejby opuścić, gdyż skutkiem niego scena końcowa blednieje niepomiernie i osłabia efekt całości.

Drugim zarzutem — to nadmiar wyrazów czysto miejscowych, które byłyby zupełnie niezrozumiałe, gdyby rzecz tę grano nie na Śląsku, oraz nadmiar czechizmów, wtrąconych najniepotrzebniej, w rodzaju tym: wiec = rzecz, ženich = narzeczony, cera = córka, cesta = droga i t. d.

Są to jednak wady, które bez trudu każdy reżyser usunąć potrafi, czem tylko przysłuży się całości sztuki.

Zalety utworu są niewątpliwe. A zatem: przedewszystkiem temat bardzo dobrze pomyślany i przeprowadzony we wszystkich najdrobniejszych szczegółach bez najlżejszego zarzutu. Ponadto typy ludowe zostały przedstawione wprost znakomicie, z wszystkiemi właściwościami charakteru chłopskiego. Indywidualizmy, a zwłaszcza kontrasty, zarysowane tutaj zostały silnymi pociągnięciami pióra i to nadzwyczaj trafnie, prawdziwie. O osobach tu występujących wie się po kilku ich słowach, po kilku ruchach, iż to są chłopi z krwi i kości, z całym światopoglądem, właściwym chacie wieśniaczej, a nie bezduszne marjonetki, jakie zazwyczaj można widywać w t. zw. sztukach „ludowych“, nawet nagradzanych na konkursach!

Reasumuję wszystko, co powiedziano, w kilku słowach. Jest to jedna z najlepszych rzeczy w tym rodzaju, jakie dało nam ostatnie dzisięciolecie.

Dr. St. Zdziarski

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

O sonetach Asnyka p. t. »Nad głębiami« na tle jego twórczości napisał Schlinder Erwin. (Wyjątek z pracy p. t. „Adam Asnyk“, szkic krytyczno-literacki), Warszawa. 1908. Na podstawie tego wyjątku niepodobna przesądzać, jaką wartość będzie mieć zapowiedziana całość. Szkic ten jest zbyt pobieżny i aż nadto skąpo miejsca poświęca artyzmowi poety, oraz analizie sonetów pod względem myślowym. Wreszcie zbytek tutaj ogromny szczegółów, niepotrzebnych, bo nie zostających w związku bezpośrednim z tematem właściwym. *Zet*

Lidové povesti o puwodu tabaku. J. Polivka. (Osobne odbicie z wydawnictwa zbiorowego „Zbornik u davu Vatroslava Jagica“.) Berlin 1908. Niestrudzony czeski folklorysta obdarza rok rocznie literaturę fachową cennymi rezultatami swoich mozolnych studjów, odznaczających się przedewszystkiem niesłychanem bogactwem zebranego materjału porównawczego, tak, że w tej mierze niedorównuje mu żaden ze współczesnych uczonych słowiańskich.

Przedmiotem omawianego studjum jest rozpowszechniona, zwłaszcza na Ukrainie, legenda ludowa o pochodzeniu tytoniu.

Główna osnowa, wspólna tym wszystkim opowieściom, jest następująca: Kiedy Judasz, dręczony wyrzutami sumienia, obwiesił się na gałęzi, wisiał tak długo, dopóki gałąź nie złamała się. Upadłszy tedy na ziemię, leżał trup jego nie pogrzebany, a z rozkładających się członków dobywał się smród tak wielki, że gdy ptak lecący powąchał go — ginął natychmiast. Na trupie tedy Judasza wyrosły, jak powiadają legendy ludowe, trzy gatunki tytoniu.

O używaniu zaś tytoniu przez ludzi, mówią legendy, że gdy djabłu umarła matka, ludzie, którzy przyszli w odwiedziny do trupa, nie chcieli płakać. Rozgniewany tem czart, starł na miał liście tytoniowe i częstował nim ludzi, którzy kichnąwszy kilkakrotnie, poczynali płakać ku niepomiernej radości czarta. Salomon nakrajał drobno liści tytoniowych, ponakładał do fajek i porozdawał pomiędzy ludzi, którzy paląc pluli na trupa matki djabelskiej. Stąd nawet powstało znane ruskie prze-

kleństwo: Tfu, do czorto i matery!“...

Warjantów obydwu tych legend przytoczył autor sporo. Co do geograficznego ich rozmieszczenia, najwięcej zapisano ich na ziemiach ruskich, a zwłaszcza na Ukrainie. We właściwej jednak ojczyźnie tytoniu, w Ameryce nie napotkano dotąd ani jednego warjantu tej opowieści. Fakt to charakterystyczny. *Dr. St. Zdz.*

Katalog zbiorów etnograficznych. Muzeum tatrzańskie im. prof. dra Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Kraków. 1908. 16-ka. str. V. i 35. Podług statutu swego założone w roku 1889 Towarzystwo muzeum im. Chałubińskiego ma zajmować się naukowem badaniem Tatr i gromadzeniem okazów z dziedziny przyrodnictwa i etnografji. Dzięki ofiarności założycieli zbiory muzealne wzrastały w szybkiem tempie. Do najcenniejszych nabytków należały zielniki, mchy i minerały tatrzańskie, darowane przez śp. Chałubińskiego, zielnik dr. A. Wrześniowskiego, przedmioty etnograficzne St. Drohojowskiego, a nie mniej bogate kolekcje śp. Adama hr. Krasińskiego, Władysława Zamoyskiego, Wojciecha Brzegi oraz Stanisława Witkiewicza. Ofiarność publiczna wzmogła się dopiero wówczas, kiedy muzeum uzyskało własny dach nad głową, t. j. od roku 1892. Posypał się szereg legatów pieniężnych, stworzono stałego kustosza zbiorów. Obecnie zaś nasuwa się sama przez się konieczność postawienia domu murowanego. Katalog działu etnograficznego obejmuje 457 okazów, osobna zaś kollekcja im. Zygmunta Gnatowskiego numerów 300. Oby w jak najkrótszym czasie mógł ukazać się takiż katalog zbiorów przyrodniczych! *Zet.*

Objawienie śród gromów i burzy — napisał M. Morozow — streścił i przeł. z rosyjskiego P. Sterling. Lwów. Nakładem Księg. pol. 1909.

W tej wzbudzającej ogólne zainteresowanie książce stawia autor śmiałą hipotezę co do czasu powstania, znaczenia i autorstwa Apokalipsy. „Objawienie“ według wywodów Morozowa miało miejsce dnia 30 września 395 r. około godz. 5-tej wieczorem. Czas ten oznacza uczony rosyjski na podstawie wykładu danych astronomicznych zawartych w Apokalipsie. Drogą zaś gruntownych studjów nad historją pierwszych wieków chrześcijaństwa dochodzi do wniosku, że autorem „Objawienia śród gromów i burzy“ jest św. Jan Chryzostom czyli Złotousty z Antjochji. Dziwne bowiem losy tego świętego stają się wogóle zrozumiałe dopiero wtedy, gdy się w nim widzi autora powyższego dzieła.

Dowody, które przytacza Morozow na poparcie swych przypuszczeń są w większości najzupełniej przekonywujące. Wzbudzają zaś wiarę tem bardziej, że autor jest wyjątkowo dysponowany do podniesienia zasłony niepamięci i fałszu stworzonego tendencyjnie przez interesowanych dookoła całej sprawy. Jego specyficzne mianowicie przeżycia młodości, gruntowna wiedza astronomiczna oraz sumienny i spokojny sposób argumentowania zjednywa czytelnika. *(kj.)*

Spis żydów i Karaitów ziemi halickiej i powiatów trembowelskiego i kołomyjskiego w r. 1765, wydał dr. Majer Balaban. Kraków, nakł. Akademji um. Według konstytucji z 7. maja 1764 nastąpić miał spis żydów w całej Rzeczypospolitej, celem nałożenia na nich większego podatku. Spis ten dokonany został powiatami i ziemiami w roku następnym, a z ksiąg odnośnych, przechowanych w Archiwum grodzkiem i ziemskiem we Lwowie, wydał dr. Balaban jedną, odnoszącą się do żydów, mieszkających na wielkim szmacie dzisiejszej Galicji wschodniej. Samo wydawnictwo, według którego było w roku 1765 w ziemi halickiej z powiatami trembowelskim i kołomyjskim ogółem 31.684 żydów, poprzedził autor naukowym wstępem, w którym rzuca wiele światła na stosunki żydowskie w czasie krytycznym, to jest bezpośrednio po zniesieniu żydowskiej organizacji sejmów i sejmików. Ze zwykłym u siebie zapałem, o ile chodzi o dzieje żydów w Polsce, opracował dr. Balaban i to wydawnictwo, ciekawe bardzo dla porównawczej statystyki, nie szczędząc żmudnej pracy przy zestawieniu tablic i wykazów.

Wiadomości numizmatyczno-archeologiczne, pod redakcją dra Marjana Gumowskiego w Krakowie, w zeszycie wrześniowym przypominają ważną dla numizmatyków kwestję, podniesioną jeszcze przez znanego numizmatyka Walerego Kostrzębskiego, zbierania odmian literowych, a mianowicie w słowach legendy otokowej. Amatorstwo tego rodzaju wywołuje zbytnią, a niczem nie uzasadnioną zwyżkę w cenach monet. Gdy się do tego doda, że dla wielu zbieraczy każda kropka inaczej umieszczona, każdy dwukropek zamiast kropki przedstawia wartość, staje się ilość odmian przy niektórych monetach i typach tak bezgraniczną i tak drobnostkową, że już pamięć ani oko ogarnąć ich nie mogą, a żaden podręcznik, ani encyklopedja nie zawierają odpowiednich wyrazów dla określenia ich wyraźnie. Kwestji, bardzo trudnej do rozstrzygnięcia, poświęci p. Henryk Mańkowski w przyszłych numerach szereg uwag z dzisiejszego stanowiska,

Pieśni ludu polskiego na Śląsku. Tom I. zesz. 1. (Odbitka z „Zarania śląskiego“). Cieszyn 1908. Nakładem Tow. ludoznawczego. 8-ka duża, str. 16. Ruchliwość kilku dzielnych jednostek, grupujących się w śląskiem Tow. ludoznawczem, zasługuje na uznanie publiczne, tem większe, ile że melodje śląskie przedstawiają dla badaczy materjał ogromnie ważny ze względu na oddziaływanie muzyki niemieckiej i czesko-słowackiej, a przedewszystkiem na analogię ich z melodjami podhalańskiemi, która jest widoczna odrazu nawet dla nie zajmującego się specjalnie twórczością ludową. W zeszycie pierwszym znajdujemy 15 melodji wraz z tekstem. Niektóre z pieśni zostały zharmonizowane. Otóż w tej mierze nie zgadzam się z wydawcami, którzy widocznie mieli także na oku cel praktyczny. Nauka bowiem ścisła i popularyzacja pieśni nie godzą się razem Przynajmniej, takie jest moje osobiste zapatrywanie. — Szata zewnętrzna wydawnictwa — bez zarzutu

Dr. St. Zdz.

NOTATKI.

Dwie cerkwie. Grono konserwatorów zgodziło się z konieczności na rozebranie cerkwi w Czyszkach powiat Złoczów, a sprzeciwiło się rozebraniu podobnej w Hlibowie (pow. Skałat), z tej racji, iż ma ona być podobna do czyszkowskiej, a więc będzie mogła ją zastąpić. Również w Kątach, niedaleko Czyszkowa jest cerkiew podobna nieco do czyszkowskiej, jednak znacznie gorzej od niej zachowana i przytem kilkakrotnie nie całkiem odpowiednio przerabiana. Celem zbadania jej wydelegowano arch. p. Mokłowskiego, który miał orzec, czy zamierzone zrestaurowanie jest pożądane, czy też nie. W każdym jednak razie cerkiew w Kątach bezwarunkowo nie będzie mogła zastąpić przeznaczonej do zdemolowania cerkwi w Czyszkach, już wprost niemożliwą jest rzeczą, ażeby poświęcić tę ostatnią na rzecz cerkwi hlibowickiej. Ta bowiem nie przypomina nawet cerkwi czyszkowskiej, która ma trzy bardzo zgrabne kopuły, tudzież obwiedziona jest dokoła krużgankiem z tego względu ciekawym, iż wykazuje oryginalne wiązania łuków arkadowych, oraz i tem, iż parapet (balustrada) tego ganku zbudowany jest z belek wiązanych wieńcowo, a nie jak w innych cerkwiach zaszalowany prostemi deskami. Cerkiew zaś w Hlibowie koło Grzymałowa jest zupełnie niepodobna i przy wielu innych zasadniczych różnicach jest przeciwnie kryta dachem t. zw. namiotowym, a należy przytem do bardzo licznych w Tarnopolszczyźnie

Niezrozumiałem wobec tego jest, jak można aprobować zdemolowanie nadzwyczaj pięknej czyszkowskiej, kiedy cerkiew w Hlibowicach kompletnie nie jest do niej podobną, a cerkiew w Kątach nie może jej również zastąpić. Doskonałe rysunki tych cerkwi, wykonał arch. p. Łuszpiński.

Grono konserwatorów nie powinno więc zezwolić na demolowanie cerkwi w Czyszkach, gdyż jest ona istotnie ciekawym i rzadkim zabytkiem budownictwa ludowego. *B. J.*

Z „Drukarni Polskiej“. Nakładem „Kurjera Lwowskiego“.